

CO CZYTAMY?

W związku z Dniami Oświaty Książki i Prasy, zwrócił śmy się do naszych Czytelników z prośbą o odpowiedź na dwa pytania:

1. Jaka jest Pana ulubiona książka?
2. Która z książek, czytanych w ostatnich 3 latach, zainteresowała Pana najbardziej?

Zdajemy sobie sprawę, że dobór odpowiadających był przypadkowy; toteż trudno nazwać to ankietą, mimo że rozmawialiśmy z ludźmi o różnych zawodach i zainteresowaniach. Myślimy jednak, że 33 odpowiedzi w jakiś sposób odpowiadają na pytanie „co czytamy” (pytania dotyczyły wyłącznie literatury pięknej).

Wszystkim naszym rozmówcom serdecznie dziękujemy za rozmowy.

Dyrektor Międzynarodowych Targów Poznańskich, Stefan Askanas:

1. Colas Breugnon R. Rollanda;
2. Są książki wstrząsające i książki „spokojne”, które tak-że zostają w pamięci. Dla mnie taką książką — z pierwszych — były *Pamiętniki Anny Frank*, z drugich — *Tuwima Pegaz dęba*.

Inżynier-ogrodnik „Miastoprojektu”, Krystyna Awzan:

1. Galsworthy *Saga rodu Forsythów*;
2. *Młodość Henryka Czwar-tego Manna*, *Cezanne Perruchotta*, *Pasja życia Stone'a*.

Polonistka Liceum im. Paderewskiego, ul. Kościuszki, Halina Bielacka:

1. *Granica* Nałkowskiej;
2. *Na wschód od Edenu* Steinbecka, *Mandaryni* Simone de Beauvoir, *Miłość nie jedno ma imię* La Mure.

Pracownica fizyczna zakładów piekarniczych, Józefa Borowczyk:

1. *Tredowata* Mniszkówny, *Ditta Andersena-Nexo*;
2. *Trzech Muszkieterów* Dumasa, *Znachor* Dołęgi-Mostowicza.

Pracownik działu organizacji PSS Tadeusz Chodorowski:

1. Trylogia Sienkiewicza, *Tragedia amerykańska* Dreisera, *Kwiaty polskie* Tuwima;
2. *Pierścień cezara* Alfreda Rambauda.

Przewodniczący Prezydium RN m. Poznania, Franciszek Frąckowiak:

1. *Chłopi* Reymonta i *Pamiętka z Celulozy* Newerlego;
2. Literatura o Polakach w ostatniej wojnie, np. *Narwik-Falaise* W. Deca.

Kasjer PKP w Czerwonaku, Stanisław Jakubowski:

1. Trylogia Sienkiewicza;
2. Czytam tygodniki ilustrowane.

Nauczycielka szkoły podstawowej w Krzesinach, Irena Jesionowska:

1. *Potop* i w ogóle Trylogia;
2. ostatnio bez reszty siedzę w książkach wychowawczo-psychologicznych.

Kierownik spółdzielni „Obuwnik Poznański”, Józef Kanarewski:

1. Sienkiewicz;
2. *Dzikowy skarb* Bunscha, w ogóle historyczne.

Kierownik Katedry Chemii Ogólnej prof. dr K. Kapitańczyk:

1. *Srebrne orły* Parnickiego, *Trzy barwy czasu* Winogradowa;
2. *Warszawa Prusa* i *Gierymskiego* Międzyrzeckiego, *Kalety* *Anegdota* i *opowieści z wieku oświecenia*.

Telefonistka z międzymiastowej, Irena Kardaś:

1. *W otchłani* Kossak-Szczuckiej, *Dzieci kapitana Granta* Verne'a.
2. *Dzieje grzechu* Żeromskiego, *W 80 dni dookoła świata* Verne'a.

Księgowa, Urszula Kłodzińska:

1. *Saga o Jarlu* Broniszu Grabskiego, *Krzyżowcy* Szczuckiej;
2. *Rapsodia żoliborska* Podlewskiego, *Na tropach Smęt-*

ka Wańkowicza, *Pozwólcie nam krzyczeć* Fleszarowej.

Wychowawczyni przedszkola przy ul. Słowackiego Zofia Kulsińska:

1. Sienkiewicza Trylogia, *Kraszewskiego Stach z Konar*;
2. Makuszyński. Ale czy to naprawdę dzwoni „Nowy Świat”?

Kelnerka z kawiarni „Literacka” (dobra kawa!), Jadwiga Kuliberda:

1. *Dusza zaczarowana* R. Rollanda, chętnie wracam też do *Kraszewskiego*, *Sienkiewicza* i *Rodziewiczówny*;
2. *Dag*, córka *Kasi Tułasiewicz*.

Dyrektor Państw. Liceum Sztuk Plastycznych, Edward Kurzyński:

- 1 i 2 — w ogóle książki z dziedziny sztuki, w których siedzę bez reszty. Najbardziej Chładowskiego *Ludzie renesansu*, *Ludzie baroku*, *Pasja życia I. Stone'a*, ostatnio *Cezanne Perruchotta*.

Studentka II roku Politechniki Poznańskiej, Elżbieta Lorek:

1. Poezje Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej;
2. *Hemingway Komu bije dzwon*, *Tuwim Jarmark ry-mów*.

Listonosz Adam Łaganowski:

1. Sienkiewicza, w ogóle powieści historyczne,
2. *Baka Konfesjonat*.

Fryzjerka Zofia Łodyga:

1. To chyba ktoś robi kawał... *Stara baśń* *Kraszewskiego* i *Curwooda Szara wilczyca*;
2. *Miasto w sidłach przestępcy*, powieść kryminalna, autora nie pamiętam.

Starszy sierżant MO, Marian Maliński:

1. *London i May*;
2. *Szara wilczyca* *Curwooda*. Przyznam się, że czytam od bardzo niedawna.

Studentka III roku polonistyki, Alicja Maszner:

1. Hesse *Wilk stepowy*, *Andrzejewski Ciemności kryją ziemię*;
2. *Gombrowicz Faulkner Azyl*, *Myszy i ludzie* Steinbecka.

Student I roku Państw. Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, Maciej Modzelewski:

1. *Perla i Ulica Nadbrzeżna* Steinbecka;
2. *Pasja życia I. Stone*, *Złoty lis* *Andrzejewskiego*.

Stanisław Mrowiński (znają go dobrze Czytelnicy pism poznańskich):

1. Wiele: przede wszystkim nowele Maupassanta, dalej: *Placówka Prusa*, *Rewizor* *Gogola*, *Lenin* *Majakowskiego*, *Matka świętych* — *Polska ojca Jaroszewicza*, *Wolter Tuwim*;
2. *Cezanne Perruchotta*, *Malarz dnia siódmego* *Banacha* (o *Ociepcie*), *Camus*, *Villon*.

Maszynistka Aleksandra Pluta:

1. *Kraszewskiego Chata za wsią*, *Słowackiego Balladyna*;
2. *Łuk triumfalny* *Remarque'a*, *Następny odchodzi* o 22.15. *P. Guzy*.

Literat i krytyk, Leszek Prorok:

1. *Lalka* *Prusa*, *Klub Pickwick* *Dickensa*, *Czarodziejska góra* *Manna*;
2. *Hemingway'a Komu bije dzwon* oraz utwory dramatyczne, drukowane w „Dialogu” (Frisch, Dürrenmat, Hochwälder). To bardzo ciekawe pismo, ten „Dialog”!

Ekspedientka sklepu mięsnego, Lidia Reksinińska:

1. i 2. *Quo vadis* *Sienkiewicza* oraz powieści *Fiedlera*.

Robotnik budowlany (magazynier), Władysław Robak:

1. i 2. Czytam tylko powieści, drukowane w odcinkach w gazetach. („Głos”, „Gazeta Poznańska”). Z książek czytam tylko te, które związane są z moim zawodem. Czytam także czasopisma fachowe, budowlane.

(Dokończenie na str. 3)

Niby to wszystko jest śmieszne, a jednak boję się czegoś. Tak jak bym coś skłamała i mamusia patrzyła mi w oczy, a ja bym jej przytakiwała: „tak, naprawdę mamusi, naprawdę...”

Tatusz chodzi chory. On mówi, że nie jest chory, ale dlaczego jest taki blady i oczy ma podkrążone? I dlaczego nie śpi na tapczanie w naszym pokoju? Albo dlaczego mamusia wciąż teraz płacze? Nie wychodzimy nigdzie tylko siedzimy w domu. A na dworze taka ładna pogoda. Słońce świeci, dzieci się bawią w piaskownicy. Basia nikomu nie chce dać swej olbrzymiej lalki. Lalka ma długie jasne włosy i woła „ma-ma” kiedy się ją przechyli. O, i pan Stanisław też pewnie czeka. Dobrze, że deszcz nie pada. On lubi na nas czekać, sama słyszałam, jak mówił do mamusi: „Lubię czekać na Elżunię, bo wiem, że przyjdzie.” I tak jakiś przyjemnie uśmiechał się do mamy, że mama mu pogroziła, a potem schyliła się i powiedziała mu coś do ucha. Chyba coś ładnego, bo oboje śmiali się głośno.

Właściwie to ja nie lubię pana Stanisława. On kłamie. Przynosi zawsze mamusi kwiaty, a mnie mówi, że mamusia znalazła je, bo ta gruba sprzedawczyni miała dziurę w koszyku i zgubiła. A pani Helwigowa ma nowy koszyk i nie dziurawy i nie mogła zgubić. Więc kiedyś spytałam tatusia, czy to prawda, że pani Helwigowa gubi kwiaty w parku, no, bo może jednak ten nowy kosz ma dziurę. A tatusz śmiał się ze mnie i powiedział mi że jestem gąpsia, bo pani Helwigowa siedzi tylko przy swoim straganie, bo jest sparaliżowana i nie chodzi po parku. Wtedy pan Stanisław kłamał.

Albo jak powiedziałam mu, żeby mnie pocałował tak jak mamusię, kiedy odchodzi od nas — to się gniewał na mnie i powiedział, że to przecież nieprawda. A ja właśnie widziałam jak przy drzwiach mamusię czasem całuje. Jeżeli tatusz jest w pokoju, to tak króciutko, a jak tatusia nie ma, to tak długo, że aż się mamusia wyrwa.

Zresztą — nie chcę tego gawłowania. Słucham wtedy ten garnuszek w różę, i chciałam, żeby mama mnie nie zbiła. Kiedy bawiłam się grzecznie na korytarzu albo w parku w piaskownicy i nie wtrącałam się do starszych, mamusia była zadowolona. Albo jak mówiłam, że kocham pana Stanisława. Po co on do nas przychodzi? Przecież nie pomaga nie tatusiowi. Tatusz sam zawsze pisze, najpierw piórem, a potem na maszynie. Nawet znaczków nie zbiera, tylko tatusz mi je daje, a ja zanoszę Markowi. Czasem pożyczę książki od tatusia, ale tatusz powiedział, że on ich chyba nigdy nie czyta, bo już kilka razy brał tę samą i oddawał, a potem znowu brał... Powiedział też tatusiowi, że te nowele co tatusz je napisał, to są bardzo ładne rzeczy. O, chociażby ta o Sabinie. A potem jak był sam z mamusią, to powiedział do niej „ty jesteś moją Sabiną”. A mamusia gniewała się na niego, po-plakała się nawet. No pewno! To taka smutna bajka. Tatusz odszedł od tej Sabinie i ona sama była z małą Jadwisią i



Rys. L. Susicki

nie mogła jej kupować ani cukierków ani zabawek. A sukienkę to Jadwisia miała tylko jedną i pocerowaną. Zresztą tatusz opowiedział mi tylko jedną nowelę. Może tamte są jeszcze ładniejsze?

Bo tatusz umie opowiadać bajki. Kiedy mamusia wychodzi, a mnie samej już nie chce się bawić, to tatusz bierze mnie na kolana i opowiada o łące, na której wszystkie kwiaty były zielone jak trawa. Ale potem padał deszcz i motyle znosiły farby z nieba, z tęczy, a krasnoludki je malowały. Albo opowiada o bocianie, który miał złamane skrzydło i został przez zimę, mieszkał z kurami.

Wieczorem tatusz jest zawsze smutny. Stoi przy oknie i patrzy na ulicę. Pewnie myśli, że mamusia już idzie, ale mamusia tak przedko przyjeździe nie może, bo pani Imielińska jest chora i ona musi jej pomagać. Tatusz mówił w nie-

Opowiadanie to otrzymało II nagrodę w konkursie literackim „Nowego Świata”.

dziele, że pani Imielińska już dawno jest zdrowa, bo rozmawiał z nią na ulicy, ale mamusia chodzi teraz znowu na kurs. To ci dopiero będzie uciecha jak siadziemy: mamusia i ja z Jolką (Jolka to moja lalka) z przodu, a tatusz z tyłu, mamusia zatrąbi „tuut...” i pojedziemy.

Zresztą tatusz powiedział, że jeszcze nie teraz, ale potem kupi nam samochód. Więc mamusia chodzi na ten kurs.

Pan Stanisław powiedział kiedyś tatusiowi, że trudno jest jeździć samochodem, i że taki kurs chyba z rok potrwa. No pewnie. Trzeba umieć zapalić światło i wyciągnąć te wskazówki kiedy się skręca i tyle innych rzeczy...

Mnie mamusia też nauczy jeździć samochodem. Albo nie. Kiedy już urosnę i będę taka jak Kazia od ciotki Mikołajczak, to pójdę też na taki kurs jak mamusia. Powiedziałam to tatusiowi, ale on chyba nie zrozumiał, co mu mówiłam, bo przytulił mnie do siebie i zawołał: „Niech cię Bóg broni, Elżuniu!”

Zresztą on tak tylko mówi, ale potem pozwoli. Tatusz jest fajny. Pan Stanisław powiedział: „on jest fajny”. Ale mamusia zakryła mu ręką buzię i długo trzymała. Potem bolała ją głowa i kiedy tatusz przyszedł to już leżała na tapczanie. Więc tatusz wziął mnie do siebie i opowiadał o tym bocianie. Szeptał mi do ucha, bo mamusia była chora, a ja śmiałam się cichutko. Tatusz powiedział, że tak cichutko, jak myszka...

Albo to wszystko jeszcze nie. Tatusz powiedział wczoraj do pana Stanisława: „pan jest świnia!” Co też ten tatusz mówił! Był z nami na wsi u wujka i widział. Świnie chodzą przecież na czterech nóżkach, a po deszczu zawsze lubią leżeć w błocie. Tak głośno siorbia i nogami wchodzi do koryta. A tatusz powiedział: „pan jest świnia!”. Więc mamusia zaczęła płakać, a potem powiedziała żebym wyszła z po-

koju. Ale tatusz nie zgodził się. „Nie, niech zostanie” powiedział. „Przecież to chodzi o nią”.

Więc zostałam. My się bawimy grzecznie. Tylko Danka Sobocińska zawsze się kłóci. Wybieramy najpierw mamę, potem tatę, potem dzieci. Czasem ciotkę, jeżeli jest nas wielu. A jeżeli jest mało, to się bawimy bez ciotki.

Myślałam, że tatusz umie się ładnie bawić w „tate, mamę i dzieci”. Nie umie, zupełnie jak Danka. „To jest moja żona” powiedział do pana Stanisława „a pan jest świnia”. Naprawdę tak brzydko powiedział: „świnia, zabrał mi pan żonę, teraz chce dziecku zabrać matkę”. Jaki ten tatusz dziwny! Przecież jeżeli mamusia chciała się bawić z panem Stanisławem w „ojca i matkę”, no to mogli się bawić, bo to przecież wszystko namyślnie...

Tatusz był blady, więc mamusia przyniosła mu wody. Ale on odsunął szklankę, aż woda rozlała się na książki i na papier. A tatusz nie wycierał. Mamusia też nie. Poproszę mamusię, żeby mi dała taką szklankę. Może być gruba od musztardy, to się tak przedko nie stłucze. Obiecuję mamusi, że nie będę mył z niej pili wody. Tak dla zabawy. Ja jutro będę matką i postawię przed Adą szklankę. Pustą szklankę.

I dlaczego oni tak patrzyli na siebie? Nic nie mówili, tylko patrzyli. Mamusia płakała i podbiegała do tatusia, ale tatusz powiedział: „zostań”. Zupełnie tak samo płakała Basia jak była kiedyś „matką”. Lży jej leciały po twarzy, a ona nie wycierała ich. Potem okazało się, że Basia nie płacze tak na niby ale naprawdę, bo nadepnęła nóżką na szkło.

Potem tatusz zaczął chodzić po pokoju. On tak zawsze chodzi, a potem siedzi i pisze. Czasem do rana. Więc tatusz chodził po pokoju i mówił, ale tylko do mamusi. Pewno zapomniał o panu Stanisławie. Mówił, że chodzi mu tylko o Elżunię, czyli o mnie. Ze dziecku nie wolno zabierać ani ojca ani matki. Kto to widział zabierać ojca albo matkę? Trzeba się bawić do końca.

Na końcu tatusz mówił, że on zostanie i mamusia zostanie. „A tej świnie!” powiedział „tej świnie — każ wyjechać”.

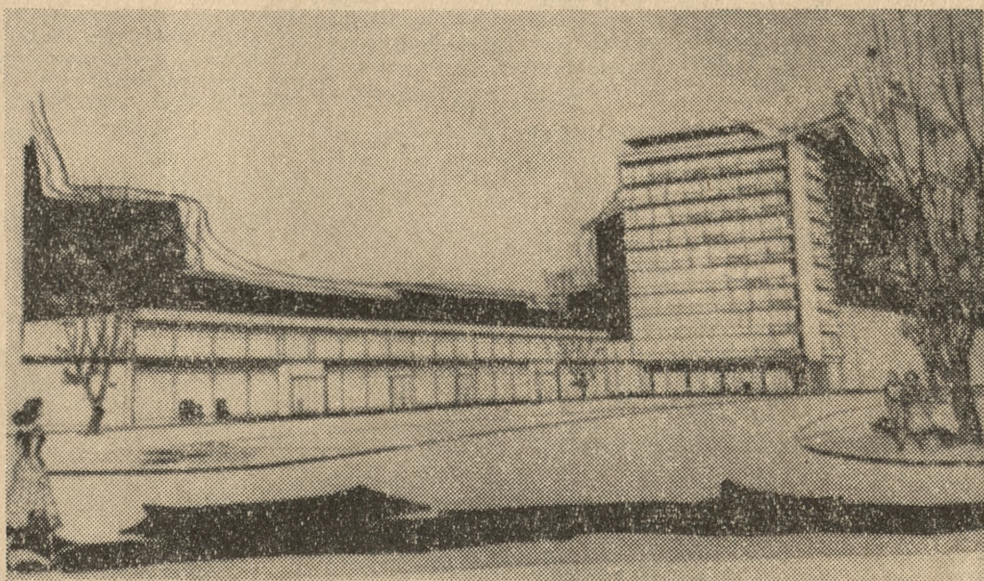
Potem siedział za biurkiem i trzymał się za głowę. Biedny tatusz. Tak go często głowa boli. Siedzi nocami, to z tego. Mamusia tak mówi.

Pan Stanisław trzasnął drzwiami. Tatusz się gniewa jak czasem niechętnie trzasnął drzwiami. Przecież to nie moja wina, jeżeli jest przeciąg i w jednej ręce mam lalkę, a w drugiej pileczkę, to czym przytrzymać drzwi? Nóżką nie można, bo się butki obrudzą. Są białe. Więc zanim położę lalkę, wiatr robi fiuu, drzwi — trzask i bura gotowa.

Teraz się tatusz też pogniawał. Tylko tak jakoś dziwnie. Położył głowę na biurku i nic. Nic nie mówi. Mamusia siedzi skulona, gryzie w zębach chusteczkę.

Mamusi, tatusiu przestańcie! To taka smutna zabawa...

Z wystawy projektów architektonicznych



Projekt wieżowca w obrębie osiedla mieszkaniowego „Grunwald „I”, naprzeciw „Gospody Targowej”. Projekt inżynierów: Galeckiego, Pylińskiego i Wellengera z „Miastoprojektu”. O innych projektach czytaj w artykule na stronie trzeciej.

Fot. K. Przychodźki

Tydzień w warszawskich teatrach

Ostatnie dzieło Horzycy

W foyer Teatru Narodowego gipsowy odlew dłoni Wilama Horzycy przyciska otwarty egzemplarz reżyserski „Za kulisami” Norwida. Ostatnimi próbami sztuki dyrygował Horzyca z szpitalnego łóżka, jakby w obawie że nie nadąży na czas z jej realizacją na scenie. Próby w szpitalu bardzo wyczerpywały. Czy nie można było odłożyć ich, aż inscenizator powróci do zdrowia? Czy choroba jego nie rokowała już nadziei na rekonwalescencję? Oto pytania, które dręczyły mnie przy otwartej kurtynie na „Księciu Homburgu” Kleista, ostatniej doprowadzonej do końca inscenizacji Wilama Horzycy. A była to rzeczywiście imponująca inscenizacja, poczęta z ducha Szekspira i jak sam Szekspir wiecześnie aktualna, inscenizacja o wielkich, humanistycznych walorach, określająca granicę marzenia i czynu, wolności i przymusu, prawa do wyobraźni, fantazji i posłuchu wyższemu, abstrakcyjnemu racjom społecznym i państwowym. Bo „Książę Homburgu” to nie polski romantyczny buntowski, lecz brandenburski Kordian — jak określił go Horzyca — romantyczny fantast, ale i pryncypalny, protestancki racjonalista. Książę Homburgu sam ma rozstrzygnąć, czy winien jest śmierci. I młody książę rozstrzyga. Gotuje się na śmierć. W decyzji tej zawarty jest wielki akt wolności wyboru człowieka, przezwyciężenia strachu przed śmiercią, sprzeciwienia się powszechnym prawom biologii. Ale i w decyzji Księcia Homburga jest podkład znanych nam doświadczeń psychicznych współczesnych ludzi idących na śmierć w gestapowskich kaźniach za cenę milczenia, za cenę pogardy dla swoich oprawców i zachowania do końca najwyższej godności osobistej i honoru. Dlatego niezupełnie mogę zgodzić się z recenzentką „Teatru” panią Marią Czanerle, że Książę Homburg, to Anty-Kordian, tu ucieśnienie konformizmu, że „pod romantycznymi pozorami propaguje on dyscyplinę społeczną i posłuszeństwo władzy”. Bo iluż my znamy w najnowszej historii Homburgów, których winą i przyznanie się do niej było faktem co najmniej pozornym.

Wojciech Natanson w szkicu pośmiertnym pt. „Sen srebrny pana Wilama” napisał, że „w październiku 1958 zrealizował on dawny swój sen: „Księcia Homburgu”. Był to bowiem marzyciel, który umiał działać (...). Wizjoner potrafiący czekać na warunki dogodne do zrealizowania swych wizji...” I dodajmy od siebie: jak Książę Homburgu, którego nikt już tym razem nie ulaskawił od śmierci, zmarł z wielką, natchnioną wizją norwidowskiego „Tyrtęja”, nie obleczonej jeszcze w ostateczny sceniczny kształt.

Hamlet naprawdę inaczej

Równocześnie w Teatrze Powszechnym na Pradze pogrzebana została jeszcze jedna wizja Horzycy: „Hamlet” z pamiętnej jego inscenizacji z 1950 roku w Teatrze Polskim w Poznaniu. W warszawskim przedstawieniu anno 1959 gra Hamlet Horzycy z 1950 roku Adam Hanuszkiewicz. Ale Hamlet jego w inscenizacji Ireny Babel w naszym nie przypomina już klasycyzującej, monumentalnej wizji „Hamleta” Horzycy.

„Hamlet” Hanuszkiewicza, to młodszy brat „Kolumbów” Bratnego, obarczony bagażem współczesnych nam doświadczeń, to jeden z pogrobówców warszawskiego powstania, sceptyczny, odważny, ale już nie desperacki, wyważony wewnętrznie intelektualista. „Hamlet” Hanuszkiewicza panuje nad sytuacją i nad rolą, jest prerażliwie przytomny i świadom tego, co stać się musi nieodwołalnie. Nie ma w nim nic z neurastenii i z metafizycznych niepokojów. To bardzo racjonalistyczny i bar-



Hanuszkiewicz jako Hamlet

dzo poetycki Hamlet, bliski do rzymskiej wizji Księcia Homburgu. Hamlet, który przeżył śmierć i nie lęka się jej nadzieją, bo jest ona rezultatem jego wolnego wyboru.

Hamlet Hanuszkiewicza spotyka się po przedstawieniu z owacją publiczności. Złośliwi twierdzą, że to Hamlet z Targówka, bohater krwawej, dramatycznej rodzinnej rozróby. Ma urodę Gerarda Philipe'a i męskość Jean Marais, jest bożyszczem młodych kobiet.

Przekład Romana Brandstättera budzi raz po raz żywsze oddźwięki na widowni, na przykład gdy Hamlet mówi: „przyjemnie jest mieć wrażliwe, gdy się leży między nogami dziewczyny”...

Andrzej Kijowski nie mógł znieść tego wszystkiego i napisał w „Teatrze” pamflet na Hamleta Hanuszkiewicza. Hamlet — zdaniem Kijowskiego — to błąd, morderca własnych i cudzych uczuć, demon myślenia niszczący życie, którego za sędą jest ślepy instynkt (...). „Hamleta trzeba zagrać tak, aby widz go znienawidził, dopiero wtedy stanie mu się prawdziwie bliski. Szlachetny, cierpliwy, oburzony na grzech Hamlet Hanuszkiewicza budzi litość, sympatię, współczucie. I dlatego jest tak daleki, obojętny, nu dny... Dla Kijowskiego być — może, jest taki.

Woszczerowicz

Jacek Woszczerowicz odegrał niedawno w Teatrze Polskim w Poznaniu finałową scenę z „Procesu” Kafki: morderstwa, czy jak kto woli, wykroczenia wyroku na Jóζεфе K. Scena ta dała mi przed smak tego, co oczekiwać miałem prawo później w Teatrze im. Jaracza na Powiślu. I rozczarowałem się. W konfrontacji własnej wizji z rzeczywistością teatralną. Bo „Proces” w Ateneum to bardzo skrócone, filmowa projekcja powieści Kafki, z wielkim, wstrząsającym monologiem Jacka Woszczerowicza, którego Jóζεף K. wżera się nam w świadomość i owłada naszą wyobraźnię na długo jeszcze po przedstawieniu.

Jan Kott napisał, że Woszczerowicz narzucił nam swoją wizję Kafki, i chyba miał rację. Ale sam „Proces” Kafki został do pewnego stopnia spłaszczony i sprowadzony do wymiarów kilku nadrealistycznych skeczów z demonicznym sądem i z ekscytującymi erotycznie scenkami. Panna Bürstner np. (Barbara Pietkiewicz) grała seks-bombę, zrobiła połowę strip-teasu. Ach, kłóć patrzył wtedy na Jacka Woszczerowicza?

Jest coś w Kafce, czego nigdy na scenie ukazać się nie da, zamknięty w sobie świat wewnętrznych dyskusji, zmagających się ze sobą przeciwnych racji, nieustanna udręka mózgu i myśli, maniackie poszukiwa-

nia prawdy i prawa, porażające człowieka poczucie bezsilności wobec zagadki zewnętrznych, materialnych potęg świata upostaciowionych w ludziach i ich grupach rządzących się brutalną dla jednostki mechaniką biologii. Świat Kafki przeraża i obezwładnia intelektualnie czytelnika, który musi go wciąż na nowo odczytywać. Dlatego teatr dramatyczny ukazać może tylko niektóre aspekty jego bardzo abstrakcyjnej i bardzo mózgowej w gruncie rzeczy problematyki.

„Proces” w warszawskim Ateneum to Kafka kreowany od nowa przez Jacka Woszczerowicza, to cichy, szary i nie znany nikomu Hamlet XX wieku, chodzący pośród nas z wielką obolałą i nabrzmiałą myślami głową, współczesny człowiek, który ślepo i po omacku, na próżno szuka zbawienia i prawdy. On nie modli się już do Boga, jest antymetafizykiem, ale ponosi ostateczną, unicestwiającą go moralnie klęskę, umiera w nieświadomości realiów rządzących światem i ludźmi. Umiera nieoświecony. Może inny Kafka za sto lub dwieście lat opisać śmierć nowego Jóζεfa K., żegnającego świat z satysfakcją boga z Olimpu.

Wielka rola w małej sztuce

Mieczysław Cwikliński oglądałem w ciekawym melodramacie pt. „Drzewa umierają stojąc” — hiszpańskiego autora Cassony. Kasa Teatru Rozmaitości była już od pół roku oblegana przez publiczność i zanosił się na to, że stan obleżenia potrwa jeszcze do końca roku, a może i dłużej. Na sali bezmiar wrzyszczeń. Starsi panowie wilgotnymi oczyma śledzą grę wielkiej Cwikli, a starsze panie przykładają chusteczki do oczu. Cwikliński na przekór sztuce, na przekór jej naiwnej i taniutkiej filozofii, gra prawdziwy dramat starej babki Balboa, która ugodzona boleśnie w samo serce wznosi się na szczyt kobiece-

go heroizmu. Może to co napiszę zabrzmi sentymentalnie i patetycznie, ale pani Cwiklińska w 59 roku swej kariery aktorskiej zagrała wielką, dystygnowaną heroinę prawdziwą babkę polskiego teatru, pokazując na scenie wielki umiar, męstwo i wielką kulturę uczucia starszej pani w znaczeniu najzupełniej dosłownym i pozateatralnym. Cwiklińska to drugi po Ludwiku Solskim, tym razem kobiecy, fenomen polskiego teatru.

Brecht — zawsze żywy

W teatrze Axera dobiega setnego przedstawienia „Opera za trzy grosze” Bertolda Brechta. „Brecht i Weill stoczyli się na dno bolszewickiego oetania. Na darmo szukałbys w tym bagnie dramatycznym drgnięć serca ludzkiego. Chora! końcowy rzucą wyzwanie publiczności — „wówczas trzeba zarcie dać, by zaspokoić głód, a potem będzie na moralność czas. Brrr... obrzydliwość!” — oto co pisał o „Dreigroschenoper” po jej premierze w 1929 roku „Reinisch — Westphalische Rundschau”.

„Opera za trzy grosze” obrosła już w legendę. To arcydzieło wielkiego teatralnego pastiszu stosunków społecznych pierwszej połowy XX wieku — bawi nas dziś urokiem starej, poetyckiej tragifarsy, lub operetkowej, kabaretowej burleski. „Dreigroschenoper” na ulicy Mokotowskiej to bardzo małe larskie i bardzo poetyckie przedstawienie kipiące nieżrówną parodią i zmysłowością. Dlatego ściga go wieczór komploty bywałców teatralnych z całej Warszawy. A ludziska w watawie na cześć brechtowskiej zera! złodziei, żebraków i prostytutek, wśród których bodaj największe hrawa zbiera figlar na i uroczą Pollę, córką właściciela przedsiębiorstwa „Przysiać cię zebrała” — Kalina Jedrusik, żona autora „Rozmyślań przy goleniu”.

I wreszcie Słowacki

Jerzy Zawieyski na galowym przedstawieniu „Marii Stuart” w Teatrze Polskim, inaugurującym Rok Słowackiego, mówił przed przedstawieniem, że nie danym było Poezie doczekać się za życia realizacji jego arcydzieła na scenie: dramy Juliusza przekraczały możliwości techniczne i inscenizacyjne ówczesnych teatrów; dziś za to prezentowane nam na nowoczesnej scenie ośniewają wielkim niezmierzonym bogactwem uczuć i myśli. Tragedia królowej szkockiej rozwija się na naszych oczach w tempie ściśle filmowym. Scena obrotowa kreśli się dookoła, ukazując różne profile jednego i tego samego podestu oraz zmienne kształty kilku pretłów, lub raczej ich kikutów imitujących raz krzywe kapliczki to znowu kraty okienne zamkowych.

Nina Andrycz odegrała Marię Stuart z rzadko spotykaną na scenach kondensacją środków aktorskiego wyrazu. Władysław Hańcza (Botwel, kochanek Marii), ex-poznańczyk i uczeń profesora Połłaka, oraz Stanisław Jasiukiewicz (Henryk Darnley, mąż Marii Stuart), wrazili się w pamięć kreacjami, jakich nie szybko się zapomina. Inna „Maria Stuart”, odegrała w mniej doskonałym teatrze stać się może nieznającym melo dramatem.

Bogdan DANOWICZ

Rok Słowackiego

Rysunek Pawliszaka do „Ojca zadumionych”.
FOT — CAF



META KONKURSU

Jesteśmy literackim narodem. Lubimy wiele czytać, nie gardzimy też piórem. Publiczny konkurs na utwór prozatorski spełnia w tych warunkach rolę ankiety. Podpytuje odbiorcę: jakie Twoim zdaniem epizody z Twojego życia godne są umiędzinienia, jakie są Twoje skłonności czytelnicze lub jaki rodzaj pisarstwa odpowiada Ci najbardziej. Rzecz bowiem ma się tutaj nieco inaczej, aniżeli w przypadku „zawodowej literatury”. Konkurs otwarty, wyłączający pisarzy-profesjonalistów, autorów książek lub chociażby członków grup literackich, przynosi najczęściej opracowania wątków autobiograficznych, rzadziej utwory powołane do życia wyobraźnią.

Prace, które napłynęły do redakcji „Nowego Świata” na ogłoszony konkurs literacki, zawierały w olbrzymiej większości ten właśnie akcent osobisty, po prostu były to osobiste przeżycia piszącego. To znamie pierwsze.

Nie ostatnie. Ilość dostarczonych opracowań wywołała zdumienie. Ponad 200 manuskryptów, olbrzymi tom prób dojrzałych albo najpierwszych, około 2800 stron, wiele, bardzo wiele arkuszy wydawniczych, cała biblioteka. Redakcyjna inicjatywa osiągnęła wysoki stopień powszechności, propozycje „chwyciły”. Wzrosły, oczywiście, wśród jurorów wymogi, konkurencja zyskała na ostrości. Oto drugi wynik konkursowej ankiety.

Trzecim — pozostała historia. Pojęta potocznie, tak jak życie utrwaliło ją w naszej pamięci. Dwa pokolenia stanęły naprzeciw siebie. Roczniaki tysiącletnie i o dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat późniejsze. Pomiędzy obu datami przebiegała pierwsza wojna światowa z Verdun, Mozą, oraz Powstanie Wielkopolskie — grupa zaś młodsza przeżyła okupację, bardzo często w szeregach partyzantki, albo obozy, wywózki na pracę do Rzeszy. Tętni ten ślad wyraźną czerwoną nicią poprzez karty, a wśród prac nagrodzonych aż pięć tytułów na dziedwie dało mu wyraz.

Ciekawe, że stosunkowo słabym głosem przemówił wielkopolski region, mimo premii konkursowej. Powstanie Wielkopolskie — to też wprawdzie region, intencje organizatorów szły jednak w kierunku wydobycia dnia dzisiejszego naszej ziemi. Obraz to może zbyt zmienny, zapewne zaś bardzo do rysowania niełatwy, no i rzecz najważniejsza: wymagający perspektywy, bez której ruszyć w pisarstwie nie sposób.

Jury w ocenie kierowało się literackimi wartościami utworów. Trudno tu mówić o wszechstkich stosowanych kryteriach. Najprościej można to ująć w ten sposób: wyrazistość i konkretność wizji — rzecz jasna, osnute mgłą pytańników, mało czytelne — nie wzbudzały aprobaty. Trafiano w tych mgłach bądź na ślad pseudo-nowoczesnych lirycznych wprawek, bądź na uduziwienia, kopiowane z małym powodzeniem od mistrzów godnych szacunku. Da-

lej pytano o autentyczność, o prawdę życiową i prawdę wzruszenia zawartą między wierszami, czyli o to, co stanowić będzie zawsze mocny bastion pisarstwa. Po trzecie — tak zwany warsztat: umiejętność wyboru, wyrazistość ludzkiego rysunku, zdolność zawiązywania i rozwiązywania fabuły, negatywność język w jego wielu rolach w utworze itd.

Dwie drugie nagrody przyznano utworom dojrzałym. „Smutna zabawa” Jerzego Mańkowskiego stanowi ośmiobliwą projekcję świata, odbitą w dziecięcej wyobraźni. Domysł młodego narratora do chodzący tylko do granic własnych doświadczeń, nie pojmując narosłego konfliktu rodzinnego, jest punktem widzenia dziecięcego pokoju na tragedię, jakże bardzo współczesną. Niefalszowany to obraz, dzwoni w nim pasja, umiar, prawda, za lat kilka zadzwoni w nim poczucie pojętej krzywdy. Obraz bez fałszywego tonu. „Żydówka” Ireny Szeligi jest literacko może jeszcze dojrzałsza, w każdym razie bardziej złożona, wymagająca więcej warsztatowego obycia. Zastanawia umiar, dy stans, nieobeszynność przy lek turze o okupacji spotykana co krok, oraz nowe tony, po pokłosiu naszego „wojennego” pisarstwa niełatwe do wydobycia. Lapidarność, doskonała pointa, klimat. W obu opowiadaniach pieczę się chleb na przyszłość.

Trzecie nagrody stanowi grupa autobiografistów. Trzy nazwiska, jednak nie wspomnieniów ani pamiętnikarzy — bo to również opowiadania. „Mieszkanie” Zofii Ciszakowej jest opowiadaniem o smutnych sprawach wspólnego dachu nad głową. Autentyczność obserwacji, dyskrekcja, przenikająca refleksja liryczna, zamknięta w końcowych zdaniach, wypływająca naturalnie z barwy utworu. „Wiktor” Liliany Cagary opowiada o miłości Polki do Rosjanina na dalekiej rosyjskiej ziemi w sposób prosty, szczery, uczciwy, bez afektacji i taniego egzotyizmu. Autorka wykazuje sporo literackich umiejętności — i co ważniejsze: mówi prawdę. „High Life” Bogdana Rutka wyrósł z dużej kultury literackiej i ze znajomości świata. Klimat mannowskiej „Czarodziejkiej góry” otacza i ten Berghof w dalekiej Szwajcarii. Zbieżność, podobieństwo obserwacji? — oczywiście. Język wykształcony, celowy, choć może nie bardzo oszczędny, pewne skróty konieczne, za to kapitalna pointa. Rutka zapowiada sporo, idzie o to, aby znalazł swą własną drogę.

Wyróżnienia stanowią zupełnie udane próby, o niejednorodnym gatunku. Są tu dwie opowieści wojenne: „Włóczęga” Zygmunta Węgrzyna i „Zasadzka” Tadeusza Maszewskiego, obie prezentują wyrobiony zmysł obserwacji, dość potoczny tok narracyjny, nie sięgają jednak poza przeciętną poprawność, dalej — interesujące „Moje miasto” zdobywczy II na grody Marii Szeligi, jedyna rzecz o Poznaniu, świadomie skonstruowana, przepojona atmosferą naszego miasta, oraz ambientne, oparte na konflikcie psychologicznym, prawdziwe opowiadanie „Kropie” Doroty Kamińskiej z Kowar.

Uwagi powyższe traktować należy jako zachęte. Być może autorzy niektórych nagrodzonych prac nie wezmą więcej pióra do ręki, być może dojdą do przekonania, że mają coś do powiedzenia ludziom. Decyzja niełatwa, trudno tu radzić cokolwiek — każdy na własny rachunek obrał drogę pisarza.

Tak czy inaczej konkurs dał rezultaty bardzo obfite, a jakościowo, w kilku przypadkach, niespodziewane. Spełnił zadanie, stał się zachętą dla dalszych podobnych inicjatyw. Pogratulujmy zwycięzcom, tych, którzy „odpadli”, zapewnijmy, że będą jeszcze mieli okazję stanąć do walki.

Przemysław BYSTRZYCKI

TRZEBA SZKOLIĆ „IZOTOPOWCÓW“

(API) Państwowa Rada d/s Pokojowego Wykorzystania Energii Atomowej powołuje specjalną komisję izotopową, której zadaniem będzie przygotowanie warunków ułatwiających szersze wykorzystanie izotopów w naszej technice. Obok zabezpieczenia krajowej produkcji izotopów szczególnie ważnym zagadnieniem jest tu kształcenie kadry odpowiedzialnych specjalistów. Można to osiągnąć przez wprowadzenie problematyki izotopowej do programu studiów politechnicznych oraz umożliwienie szerszych praktyk zagranicznych młodym „izotopowcom”.

ELEKTRONICZNY KRAWIEC

(API) Robot elektroniczny przyjmuje zamówienia na odzież, notuje miary na taśmie magnetycznej, następnie zamienia je na in-



strukcje elektroniczne do dalszej automatycznej produkcji masowej. Stosując się do tych instrukcji — pełni następnie funkcje krojeckiego, zwraca przy tym baczną uwagę na gatunek tkaniny.

Takiego elektronicznego odzieżowca „zaangażował” ostatnio przemysł odzieżowy USA. Robot świetnie zdaje egzamin przy masowej produkcji w przemyśle odzieżowym. Jedynym mankamentem tego urządzenia jest jego wysoki koszt.

NAGRODA DLA TWÓRCY TU-104

(API) Wybitny uczonec radziecki, konstruktor lotniczy, A. Tupolew otrzymał wysokie odznaczenie za usługi dla rozwoju światowej techniki lotniczej. Międzynarodowa Federacja Lotnicza przyznała mu Wielki Złoty Medal. W ciągu półwiekowej pracy A. Tupolew opracował konstrukcje ponad 120 samolotów, między innymi słynących odrzutowców pasażerskich TU-104.

(K)

CO CZYTAMY?

(Dokończenie ze str. 1)

Pracownik umysłowy (PKO), Brunon Roelawski:

1. Ogniem i mieczem Sienkiewicza;
2. powieści Fiedlera. Ostatnio czytam niewiele.

Ksiądz Salomon:

1. Sienkiewicza Trylogia i Quo vadis;
2. Historyczne. Z tych: Graciosa Ja, Klaudiusz i Klaudiusz i Messalina.

Adwokat, Tadeusz Sokołowski:

1. Sienkiewicz, Żeromski;
2. bardzo trudno mi powiedzieć, czytam bardzo wiele.

Kierowniczka kancelarii dyrektora szpitala, Kazimiera Suska:

1. Ania z zielonego wzgórza (najstarsza „miłość”), poezje Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej, Chłopi Reymonta;
2. powieści autorów skandynawskich (Gjellerup, Ham-sun).

Portier Domu Akademickiego przy al. Stalingradzkiej.

1. i 2. — Sienkiewicz (szczególnie Rodzina Połanieckich i Trylogia), Mickiewicz, Słowacki. Nazwiska nie trzeba podawać, po co mam być w gazecie?

Zona lekarza, Maria Sypniewska:

1. Trzej towarzysze Remarque'a, Trylogia Sienkiewicza;
2. Arnold Zweig Wielka wojna białych ludzi.

Bibliotekarka szkoły podst. przy ul. Garbary, Ewa Warakowska:

1. Iwaszkiewicz i Nałkowskiej Węży życia;
2. Proces Kafki, Dżuma Ca-

Pokaz i kilka refleksji

W ciągu ubiegłych 9 dni odbywał się w Sali Marmurowej Nowego Ratusza „Pokaz opracowań architektoniczno-urbanistycznych m. Poznania”. Społeczeństwu Poznania zaprezentowano plany zagospodarowania przestrzennego (szkoły wyższe, osiedla mieszkaniowe, MTP), projekty poszczególnych obiektów (szkoły 1000-lecia przy ulicy Artyleryjskiej, hotel „Orbis”, budynek biurowo-handlowy przy ulicy Czerwonej Armii i in.) lub całych zespołów (zabudowa wewnętrzna Starego Rynku, obudowa ul. 27 Grudnia, osiedle HCP, Politechnika itp.). Przedstawiono również studia komunikacyjne (trasa W-Z), gabarytowe (ulica Czerwonej Armii) i studium przebiegu Al. Marcinkowskiego do Dolnej Wildy. Na marginesie niejako ukazano wizję przyszłego Poznania, jakie tworzy znany artysta Zygmunt Szpinger.

W jakim kierunku

Pokaz informuje przede wszystkim o kierunkach rozwoju Poznania. Osiedla mieszkaniowe będą realizowane bądź na południowo-zachodnich krańcach miasta, bądź też na pozostałych wolnych enklawach w obrębie Wildy i Łazarza. W każdym razie tylko na lewym brzegu Warty.

Budownictwo handlowo-usługowe i biurowe zlokalizowano głównie w śródmieściu. Skala jego jest, niestety, bardzo minimalna, co budzi niepokój, zwłaszcza, że w nowych osiedlach przeznaczono na ten cel znikomą powierzchnię (na przykład na Dolnej Wildzie powierzchnia mieszkaniowa wynosi 234 tys. m², a usługowa — tylko 20 tysięcy m²). Spośród wyższych uczelni poznańskich w najbliższym położeniu znajdują się Politechnika i WSR, które otrzymały obszerne i położone w dogodnych punktach tereny. MTP — jak wynika z przedstawionych planów — otrzymała wreszcie nowy rejon dla swej rozbudowy (obecne ZOO) i zaplecze hotelowe.

Niewiele natomiast dowiadujemy się o przebudowie i rozwoju sieci komunikacyjnej, co wobec żywiołowej inwazji budownictwa na południe i na zachód musi wywoływać obawy mieszkańców.

Tendencje architektoniczne

Czy pokaz przynosi jakieś ogólne zmiany w dotychczasowych kierunkach urbanistycznych — architektonicznych naszego miasta?

Wydać mi się, że nie można jeszcze mówić o zasadniczym przełomie. Poszczególne projekty cechuje wprawdzie dążność do nowoczesności, ale są to tylko pojedyncze obiekty lub małe zespoły. Podobają mi się na przykład hotel „Orbis”, trzeci (po PDT i wieżowcu „Miastoprojekt”) akcent wysokościowy śródmieścia,

zbliżony do typu międzynarodowych hoteli „Hiltona”.

Ciekawa jest zabudowa ul. 27 Grudnia, na którą składają się wolno stojące szklane domy handlowe i pawilony sklepowe (patrz zdjęcie). Jaskółką zmian w budownictwie szkolnym jest „kombinat” przy ul. Artyleryjskiej. Projektanci wspomnianych obiektów, inżynierowie Cieśliński, Liśniewicz i Jarosz na pewno reprezentują postępowy kierunek w architekturze.

Ale na pokazie nie mamy jakiegoś jednolitego planu przebudowy śródmieścia. Wymienione projekty kłębią się z innymi (na przykład obudowa ul. Czerwonej Armii), które cechuje konserwatyzm i schemat. Mimo ukazania studium przedłużenia Al. Marcinkowskiego — nie możemy sobie wyobrazić racjonalnego rozwiązania problemów komunikacyjnych w tym niewrażliwym rejonie miejskim.

Mieszkania

Wiele satysfakcji mogłyby dać mieszkańcom Poznania plany wielkich osiedli mieszkaniowych, gdyby nie szereg widocznych braków.

Osiedle Grunwald II mimo swych rozmiarów nie stanowi jakiegś zamkniętej całości. Plan zagospodarowania przestrzennego powinien — moim zdaniem — obejmować obszar aż do osiedla Jeżyce (przy petli). W układzie urbanistycznym widać sztywność. Niezrozumiałym jest także lanowanie bloku-giganta według Le Corbusiera, który dla naszych użytkowników jest symbolem bloku-ula. Gdy chodzi o osiedle dla HCP, trudno zgodzić się na stłoczenie budownictwa mieszkaniowego tuż obok fabryki oraz pominięcie ważnego szczegółu, jakim jest profil przysięgłej ulicy między blokami. Nie podoba mi się zestawienie obok siebie długich i wąskich obiektów mieszkalnych (obok placiku). Czy nie należałoby raczej rozluźnić zabudowę i obniżyć jej wysokość do 4 kondygnacji? W Poznaniu brak nam właśnie dobrych projektów mniejszych domów mieszkalnych, usytuowanych nieszałobowo w stosunku do ulicy (wyjątek — osiedle Spółdzielni „Grunwald”, wyposażonych w obfitą zieleni).

I wreszcie — przyszłość MTP

Wiele obiecywałem sobie po planach zagospodarowania MTP. Bądź co bądź jest to swojego rodzaju centrum reprezentacyjne. W obu alternatywnych przebudowy znalazłem istotnie korzystne zmiany — nowy most łączący ul. Czerwonej Armii z ul. Świercowskiego, powiązanie terenów targowych z projektem hotelu „Orbis” itp. Ale dlaczego miałyby to powodować konieczność wyburzenia kina „Bałtyk”? W śródmieściu mu-

simy — chcąc nie chcąc — zacząć burzyć, ale przede wszystkim ruderę XIX-wiecznej Kina „Bałtyk” poczonęło zbyt wiele funduszy...

Nie przekonuje mnie również dalsze zabudowywanie wielkimi halami obecnego terenu MTP i lokowanie małych pawilonów w rejonie dzisiejszego ZOO. Wydaje mi się, że gościom targowym należy pozostawić dwa tereny rekreacyjne, a nie tworzyć nowego — w wyraźnym oddaleniu. Popieram koncepcję budowy kilku mniejszych hal przy ul. Roosevelta zamiast jednej hali-giganta.

Ostatnie moje zastrzeżenie dotyczy projektów arsenału i sukienic na Starym Rynku. Po kilku latach dyskusji doszliśmy do najwykreszniejszych pawilonów handlowych!

*

Jeśli pokaz ma spełnić swoje zadanie, to efektem jego powinny być korekty ustalone w gronie fachowców i podjęcie pracy nad całościowymi rozwiązaniami. Dotyczy to szczególnie śródmieścia, które czeka na radykalne zmiany, zgodnie ze współczesnymi tendencjami w światowej urbanistyce i architekturze.

Józef MODRZEJEWSKI

Kiedy Solski śpiewał w „Halce”...

Początki polskiej Opery w Poznaniu

Niedawno odbył się interesujący wykład dr. Jerzego Kollera, nawiązujący do historii Poznańskiego Teatru Polskiego w okresie międzywojennym. Zaraz potem prof. Ulatowski naszkicował historię tego teatru od początku XX wieku, wspominając, że dyr. Andrzej Lelewicz, obejmując w r. 1908 dyrekturę Teatru Polskiego, obok działu komediowo-dramatycznego wprowadził również dział muzyczny, tj. operę i operetkę.

Do r. 1908 odbywały się w Poznaniu sporadyczne przedstawienia operowe (jeśli je tak nazwać można), w których niejednokrotnie artyści dramatycznie wykonywali niektóre arie, reszta zaś była rozgrywana prozą. Między innymi Ludwik Solski występował wówczas jako Jontek w „Halce” na scenie poznańskiej.

Andrzej Lelewicz zaangażował potrzebny do wykonywania oper zespoł wokalo-muzyczny, to jest solistów i solistów, chór mieszany oraz orkiestrę, złożoną z 32 muzyków, bo na tyłu tylko starczyło miejsca w „kanale” orkiestrowym.

Można sobie wyobrazić entuzjazm mieszkańców m. Poznania, kiedy we wrześniu 1908 r. na inauguracyjnym przedstawieniu operowym odeszły się dźwięki nieśmiałej „Halki”. Opery oglądało nie jedynie w teatrze niemieckim — naturalnie w języku niemieckim. Niemalą więc miał zasługę dyr. Lelewicz; potrafił przekonać Niemców, że Polacy potrafią również wystawiać przedstawienia operowe w swoim rodzinnym języku i to na wysokim poziomie. Na widowni Teatru Polskiego często widywano Niemców i słyszano w języku nie-



Ciekawy projekt zabudowy ul. 27 Grudnia, inż. J. Liśniewicz. Jak widzimy, przewidziano poszerzenie ulicy, wzdłuż której staną budynki o zabudowie luźnej, tworzące harmonijną całość z Domem Towarowym. W sumie — wizja nowoczesna.

mieckim pochwały pod adresem wykonawców oper polskich. Dodać też należy, że artyści operowi teatru niemieckiego byli częstymi gośćmi na operach polskich.

Lelewicz, który sam był świetnym artystą operetkowym, starał się nie tylko o odpowiednie i należyte wykonanie muzyczne, lecz także bardzo dbał o zewnętrzną wystawę i stylowe kostiumy. Wśród wykonawców pierwszej „Halki” w Poznaniu wymienić trzeba nazwisko Florian-Zbierzchowskiej (rola tytułowa), tenora L. Sawickiego, barytona Teofila Husa i basu Witolda Szellera. Operę przygotował i dyrygował b. zdolny Alfred Langer, tańce

ułożył baletmistrz Stanisław Faliszewski, który ze swoją żoną Zofią Faliszewską wykonał też solowe partie na tle licznych „corps de ballet”. Reżyserował bardzo pomysłowo sam Lelewicz. W poloniezach i akcie brali udział również artyści dramatyczni.

„Halca” podbiła od razu serca poznaniaków, toteż nie dziwnego, że wykonywana wielokrotnie, utrzymywała się stale w repertuarze we wszystkich sezonach.

Za „Halką” poszły inne opery, jak „Straszny dwór”, „Faust”, „Sprzedana narzeczoną”, „Traviata”, „Hrabina”, „Jaś i Małgosia”, „Manon”, „Mazepa” (Minchaimera), „Wanda” (Dopplera), „Madama Butterfly”, „Żydówka”, „Ernani”, „Carmen” i inne.

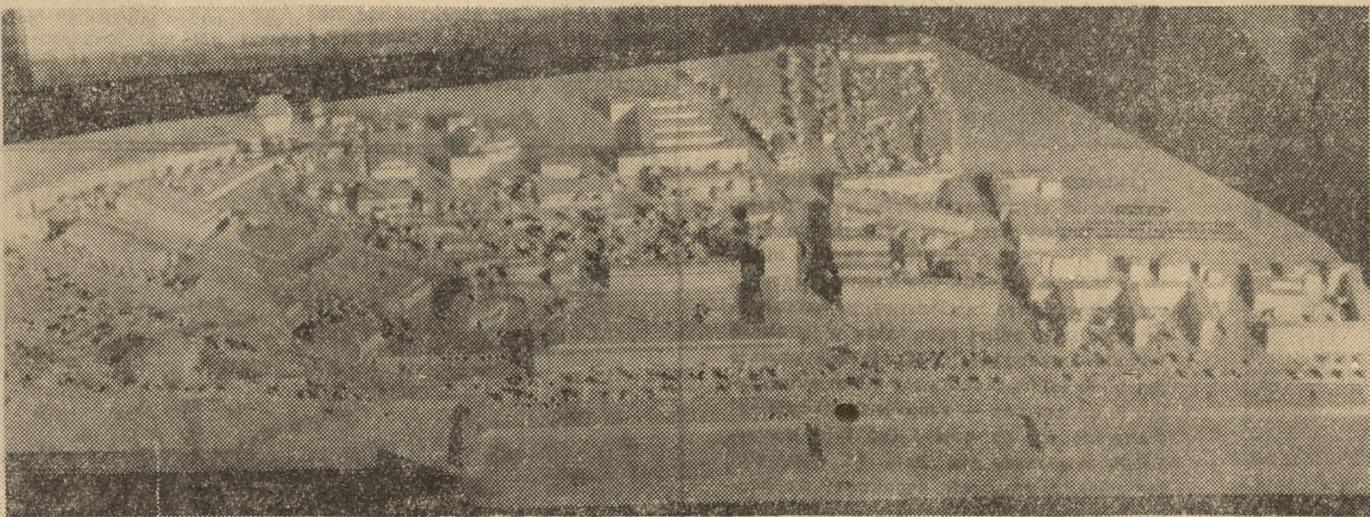
W r. 1912 po dyr. Lelewiczu dyrektorem Teatru Polskiego objął Anna Młodziejowska-Szczurkiewiczowa i Bolesław Szczurkiewicz. Aczkolwiek główny nacisk kładli oni na repertuar dramatyczny (inaugurując swój pierwszy sezon wystawieniem dramatu Wyspiańskiego „Bolesław Smiały” z Józefem Sosnowskim w roli tytułowej), to jednak również dbali i żywo interesowali się także repertuarem operowym. Toteż angażując świetnego tenora Włodzimierza Malawskiego powierzyli mu zarazem funkcję reżysera operowego, z czego wywiązywał się znakomicie.

Przez 6 lat, do r. 1914, zgodnie pracowali na scenie Teatru Polskiego trzy działy: komedia — dramat, opera i operetka i stan ten utrzymywał się aż do wybuchu I światowej wojny w r. 1914. Sezony trwały, niestety, tylko po 8 miesięcy (od 1 września do 30 kwietnia), bo tylko na taki okres opiewało zezwolenie grania w języku polskim.

W okresie tych 6 sezonów przewinęło się przez Poznań wielu artystów, z których niejedni debiutowali w naszym mieście.

W dziale operowym pracowali: Alfred Langer, Józef Leher, Mieczysław Elchstaedt oraz niżej podpisany. Prócz Faliszewskich w balecie brali udział Maria i Feliks Bańkowscy. W ważniejszych partiach występowały solistki: Florian-Zbierzchowska, Stefania Marynowicz, Lenartowicz - Karska, Rogalińska, Aleksandra Szafranska, Bronisława Krajewska, Celina Celińska, Maria Moyscowa, Maria Janowska, Maria Steffi-Hajchowa, Eleonora Krzesińska, Janina Górkowska, Maria Rola-Rakowiecka oraz solisci: Andrzej Hajek, Teofil Hus, Witold Szeller, Kajetan Kopeczyński, Bolesław Folygo-Polański, Adam Miłocha, Leopold Sawicki, Tadeusz Bukowski, Bogusław Radwan, Zygmunt Nowina-Witkowski, Józef Munchinger (późniejszy reżyser Narodnego Divadla w Pradze) i inni.

Stefan BARAŃSKI



Makieta, przedstawiająca plan zagospodarowania przestrzennego terenów MTP. Projektowali inżynierowie: Jędrzejczak i Szykowny z Poznańskiego Biura Projektów Budownictwa Przemysłowego. Fot. (2) — K. Przychodzki

Najmniejsze książki świata

W ostatnich latach ilość wydanych książek tak bardzo wzrosła, że biblioteki są przepełnione. Na przykład Biblioteka Miejska w Nowym Jorku posiada 7 milionów tomów. Nie pozostaje za nią w tyle biblioteka leningradzka, moskiewska i londyńska. Jeżeli książki wydawane będą nadal w takim tempie, to nawet największe gmachy świata nie będą w stanie pomieścić zwiększających się bibliotek.

W tej sytuacji szczególna rola przypadnie książkom miniaturowym, które zajmują stosunkowo mało miejsca. Wydawanie takich książek, tak zwanych kolibrów, datuje się od dawna. Sztuka drukarska od chwili powstania dzielnie współzawodniczyła z mikroskopijnym rękopisem i dzięki temu powstały książki, które od maleńkiego egzotycznego ptaka wzięły nazwę: kolibry.

Do miniaturowych skarbów biblioteki waszyngtońskiej należą na przykład dwie pełne Biblie, jeden tom Koranu, wszystkie dzieła Dantego, sztuki Szekspira i Molière. Wszystkie te dzieła można zmieścić w złożonych dłońach.

Pierwszą książkę-kolibra wydrukowano w Mediolanie w roku 1840; była to: „Regula Sancti Benedicti”. Drukowana stronica tej książki miała 65 milimetrów wysokości.

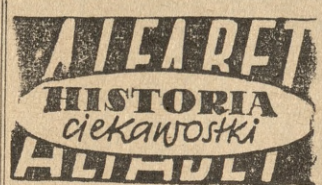
Najczęściej wspominaną miniaturową książką jest 208-stronicowy „List Galileusza”, wydrukowany w Padwie w 1896 roku. Ma on rozmiary 16,5x11 mm. Jest to prawdziwe dzieło sztuki, świadectwo wręcz niewiarygodnej wirtuozerii techniki drukarskiej.

Biblioteka w Oxfordzie posiada jeszcze mniejszą książkę: 6,3x4,5 mm. Ta czerwono oprawiona książka-koliber zawiera wiersze Omara Chayama. Nawet numeru nie można na nią nakleić. Jest to najmniejsza książka na świecie. Została wydrukowana w amerykańskim mieście Worcester w 1933 roku. Praca nad nią była bardzo wyczerpująca. Ledwo widoczne gołym okiem litery można było składać tylko w nocy, kiedy maszyny stały i na ulicach ustawał ruch kołowy, gdyż nawet najmniejsze wstrząsy przekształcały wzrokowi zecerę.

Obecnie przy pomocy specjalnych klisz fotograficznych można zmniejszyć normalnie drukowaną stronicę do jednej dziesiątej milimetra kwadratowego. Gołym okiem tych liter oczywiście nie można czytać, ale przy pomocy innego aparatu można je powiększyć do oryginalnej wielkości.

Najnowsza technika fotokopowania pozwala na jednym milimetrze kwadratowym zmieścić już sto stron druku, a obecnie czyni się doświadczenia w tym kierunku, aby można było na jednym milimetrze kwadratowym pomieścić 10.000 stron druku. Gdyby w ten sposób zmniejszono jakąś wielką bibliotekę, zmieściłaby się cała do pudełka na papierosy.

(t. — J. b.)



MSZCZYCZYN niedaleko Dol ska, w roku 1405 był Mszczy-
czyn.

MUROWANA GOŚLINA ist-
niała przed rokiem 1253. Mia-
sto — już przed rokiem 1400.
Ojcem jej był gród nad War-
tą Radzim, po którym pozos-
tało trochę gruzów.

MOST DIABELSKI pod Je-
zierzycami (powiat Leszno) —
na pewno tu wchodzi w grę
jakieś zdarzenie przypisane
diabłu. A może most był dia-
bla wart? Jeśli ktoś wie wię-
cej na ten temat, proszę na-
pisać!

MOTYLEWO pod Piłą zapi-
sano w roku 1498.

MYJOMICZE pod Kępem.
W roku 1360 Myjomicz, 1437 —
Myjomicze. W XVI wieku go-
spodarzyli tu Myjomiscy. Od
roku 1580 w rękach Weżyków.
Nazwa od struci lewego dopły-
wu Warty — Myl.

Rozwiązanie arytmografu

Brzmi ono: Wiele wygranych
i nowe domy — oto co dają Ko-
ziolki!

Nagrody w postaci książek o-
trzymują przez pocztę: Bogdan
Stelko z Gniezna, Mieczysław
Pole z Bojanowa, Bogusław Szy-
dłowski z Powiercia, pow. Koło,
Jurand Różanek z Opalenicy, Bo-
gusław Modrzejewska z Przybo-
rek koło Wrześni i Krystyna Wań-
ska z Jerki, powiat Kościan oraz
z Poznania: W. Mizerowa, ulica
Zeylanda, H. Święciecka, ulica
Chwiłkowskiego, M. Soroko, ul.
Czarnkowska, K. Nowacka, ul.
Gwardii Ludowej i I. Lubczyńska,
ulica Wilczak.

Festiwalowe spotkania

Kraków powitał nas ziele-
nią Plant, bajecznie ko-
lorowymi plakatami na
słupach, mnóstwem imprez.
Uśmiech i żywiołowość przy-
wieszono ze wszystkich stron
Polski.

Dla informacji podam, że
przeciętna dziennych imprez
wynosiła szesnaście. A więc,
niestety, wszystkiego w ciągu
czterech dni obejrzeć nie by-
ło można. Mój wybór imprez
był dość jednostronny — te-
atrzyki studenckie, wystawa
plastyki i filmy studenckie.
Pomijałam koncerty jazzowe,
występy zespołów chóralnych
i tanecznych oraz repertuar
teatrów Krakowa. Jedyny wy-
jątek — to „Myszy i ludzie”.
Steinbecka w Nowej Hucie.
To co pokazuje Teatr Ludo-
wy, zasługuje na miano wiel-
kiego repertuaru i wielkiego
artysty.

Ciekawym przeżyciem była
wystawa plastyki studenckiej,
choć do Pałacu Sztuki we-
szliśmy trochę rozbawieni;
przed wejściem do sali wysta-
wowej stoi ogromna rzeźba
niesamowicie chudego konia,
którego skojarzyliśmy — jak
najbardziej subiektywnie —
z Pegazem A. D. 1959...

Tendencje panujące w pla-
styce studenckiej są różno-
rodne: od silnie zaznaczonych
elementów realistycznych do
skrajnej abstrakcji.

Wybieraliśmy programy te-
atrzyków, pragnąc nasycić
„głód kabaretowy i satyrycz-
ny”, gdyż inicjatywa studen-
cka w Poznaniu nie poszła w

tym kierunku. Kabarety, któ-
rych program oglądałam, ma-
ją już długą tradycję, np.
STS Warszawa. A więc nie
można dziwić się ich wyso-
kiemu poziomowi. Typ komi-
zmu był wysoki i aktualny.
Oto dowcip na temat użytecz-
ności statystyki:

„W jednej izbie mieszka żona
(2 nogi), mąż (2 nogi), pies (4 no-
gi) i stonoga (100 nóg). Razem —
108 nóg na jedną izbę mieszkal-
ną.”

Bardzo aktualny i komuni-
kacyjny program dał STS
„Pstrąg” z Łodzi. Była to sa-
tyra polityczna, w przeciwień-
stwie od STS Warszawa,
gdzie dominował typ obczy-
jowy.

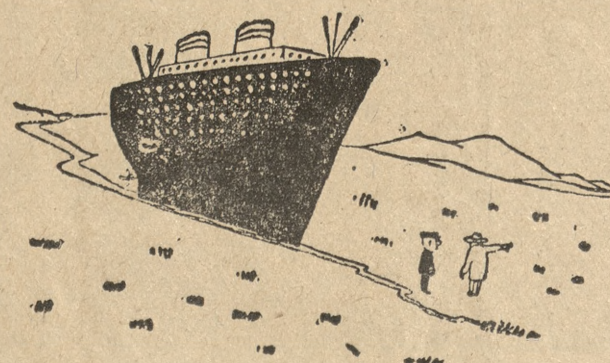
Z okazji Millenium „Pstrąg”
robi przegląd wad narodo-
wych Polaków i fałszywych
poglądów historycznych.
W rozważaniach Popieła nad
charakterem ustroju Polski
pada odpowiedź — drobno-
ustrój; nad wyborem konsty-
tucji spośród: lutowej, marco-
wej, majowej, lipcowej, „ni-
hil novi” — pada propozycja:
„droga typowania Toto-Lot-
ka”. Dalej — kapitalny numer
ośmieszający przekonania Po-
laków o rzekomych cudach
w naszej historii z taką reflek-
sją: „cud składa się z niepo-
koju, pielgrzymek i rozważań
o cudzie...”

Teatrzyki „CO TO”, „TO
TU” Gdańsk i wrocławski
„Kalamur” obracali się w
kręgu pantomimy i kukielek,
przy czym prymat należy
przynależności Gdąńskowi.

Kraków olśniewał prześlicz-
nymi dziewczętami. Kreacje
dziewcząt — szalone i tanie.
Do kanonu mody studenckiej
należą bezapelacyjnie czarne
męskie koszule, a u dziewcząt
szerokie, sztywne spodnie.
Specyficznym zjawiskiem ju-
wenaliowym były przebrania
najczęściej lachmianiarskie i
napisy, np. na spodniach.
„Teatr Rozmaitości” wtorek
godz. 17.30, środa godz. 20.00”.

Festiwalowe życie skupiało
się na Starym Rynku. Tłok,
gubienie butów i bardziej po-
wszechne łamanie obcasów
„szpilek”. Nic specjalnie nie
zmieniło się w programie; ale
rok przerwy — to wystarcza-
jący okres, by stęsknić się za
świętą młodością i swobodą.
I to czuli chyba wszyscy u-
czestnicy Juwenaliów.

Alicja MASZNER



— Pan się myli, kapitanie, właściwy kanał jest tam!

fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

CZWARTY STAN SKUPIENIA?

Opracował: A. Trepka

17 października 1952 r.,
Jean Yves Prigent, dyrektor
liceum w mieście Cleron we
Francji, wraz z żoną i troje-
giem dzieci zasiadł jak zwy-
kle do śniadania w swym
mieszkanie.

Nagle jego syn, patrząc
przez okno, zawołał z przeje-
ciem:

— Tatusiu, chodź prędko,
to jest fantastyczne!

Tak rozpoczął się jeden z
pierwszych incydentów z ta-
jemniczymi „włosami aniel-
skimi”.

Ustna relacja J. Prigent,
spisana osobiście przez prof.
dr Aime Michela, ukazała się
w jego książce: Lueur sur les
Soucoupes Volantes”. Czytamy
tam m. in.:

„Była to welnista chmura o in-
trygującym kształcie, ostro odeli-
nająca się od błę-
kitnego tła nie-
ba. Ponad nią u-
niósł się długi,
wąski cylinder.
Nachylony do po-
ziomu pod kątem
45° płynął wol-
no ku południo-
wemu zachodowi.
Ocenilem jego wy-
sokość na 2 do
3 km. Obiekt
był białawy, nie-
świejący i bar-
dzo wyraźnie za-
rysowany. Z je-
go wierzchołka
wydławił się ef-
fektowny piro-
pusz białego dy-
mu. Z pewnej
odległości od cy-
lindra około
trzydziestu mniej-
szych przedmio-
tów posuwało się
tym samym szla-
kiem. Obserwo-
wane gołym o-
kiem wyglądały
jak kuliste kłęby
dymu. Obiekty te
płynęły parami,
zaczynając cha-
rakterystyczne
zygzaki. Gdy od-
dały się od sie-
bie, pomiędzy ni-
mi powstawał
blask, charakterystyczny dla łuku
elektrycznego.”

Każdy latający przedmiot po-
stawał za sobą obfitą smugę,
która powoli opadała. Przez kil-
ka godzin szarawe włosy zwisły
z galezi drzew i z drutów tele-
fonicznych, przykrywały dachy
domów, zwinnym całunem stały
się po ziemi.”

Zjawisko to obserwowano w
Cleron, Lens i pobliskich
miejscowościach ponad 1.400
osób. Intrygującą substancję,
zauważyli wszyscy mieszkań-
cy tej okolicy. Ponadto stacja
radarowa w Mont de Mareau
podała podobną wiadomość.

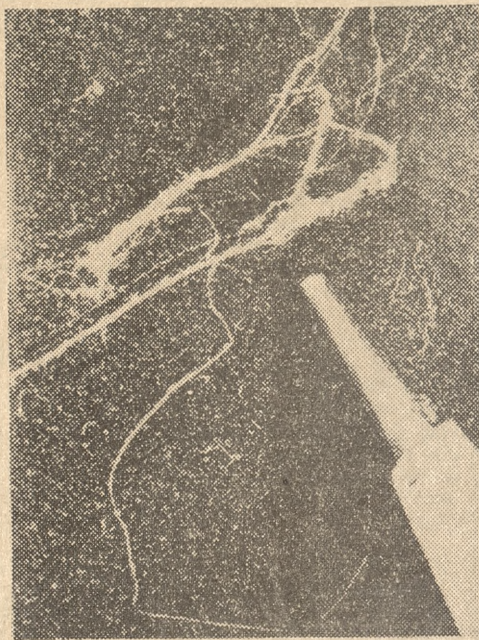
Analogiczne zjawisko powtórzy-
ło się po dziesięciu dniach w
miejscowości Gaillac, również we
Francji. Jak wynika z zeznań
licznych świadków, na niebo
wpłynęło bezsestnie olbrzymie
„cygaro” w otoczeniu szesnastu
„latających talerzy”. Wszystkie
obiekty z wyjątkiem centralnego
— wypuściły wielką ilość galare-
towej masy, która osiadła na po-
lach i zabudowaniach, ogarniając
dość rozległy teren.

W tych wypadkach tajemni-
ca substancja nie dała się
zbierać, gdyż za najbliższym
poruszeniem gwałtownie wzra-
stała jej lepkość, czemu to-
warzyszyła niemal natych-
miastowa sublimacja.

23 lutego 1955 r. po przelecie
eskadry latających spodków nad
stanem New York w USA tajem-
nicze „włosy anielskie” pokryły
obszar pół mili kwadratowej w
okolicy Horsehead i stanowiły
substancję na tyle trwałą, że we-

zwany drogą radiową dr Charles
Rutenber, profesor chemii z uni-
wersytetu w Elmira, zdał prze-
wież ją do swego laboratorium i
dokonał skrupulatnej analizy.
Tym sposobem stwierdzono, że
„włosy anielskie” zdradzały wy-
raźną radioaktywność, chociaż w
nasileniu nie niebezpiecznym, a
składem chemicznym przypomi-
nały włókna bawełniane.

Prof. dr Meade Layne’a,
dyrektor Instytutu Naukowe-
go w San Diego (stan Kali-
fornia) przypuszcza, że nie-
znana dotąd naszej technice
umiejętność latających spod-
ków stawania się niewidzial-
nymi*) prawdopodobnie przez
odpowiednie wykorzystanie
jakiegoś rodzaju promienio-
wań — nie stanowi ostatniego
słowa ich możliwości „zaba-
wy w chowanego”. Podstawę
do tego rodzaju przypuszczeń



„Włosy anielskie”, które pokryły roz-
legły teren w Kalifornii w 1951 r. Zdję-
cie dokonane w dolinie San Fernando.

daje sublimacja — w pewnych
wypadkach — nie tylko „wło-
sów anielskich”, ale również
całych latających spodków,
zbudowanych ze ściśniętej,
twardej substancji zdradzają-
cej wszelkie cechy metalu. Za
przykład może tu posłużyć
wprost niesamowite wydarze-
nie, o którym pisał „Sunday
Express” z dnia 1. X. 1951 r.

Czterej policjanci, którzy póź-
niej złożyli szczegółowy raport ze
swego przeżycia, napotkali w ok-
olicy Filadelfii (USA) stojący w
połu stosunkowo niewielki przed-
miot. Wyglądał on jak metalowy i u-
osabiał klasyczny kształt latającego
spodka. Skoro jeden z poli-
cjantów po długim wahaniu od-
ważył się dotknąć dziwną maszynę,
uczuł jak gdyby rodząca się
lepkość, a tajemniczy NOL za-
czął niknąć, nie zatrzymując po-
czątkowo kształtu. Po upływie pół
godziny przedmiot zniknął „jak
kamfora” w oczach zdumionych
obserwatorów — w wyniku rów-
nocześnie postępującego procesu
sublimacji.

Prof. Meade Layne zakłada,
że latające spodki mogą w
niektórych wypadkach prze-
chodzić ze znanych nam sta-
nów skupienia w stan nie-
znany, dotychczas opierający
się wszelkim badaniom, na-
wiązując do abstrakcyj-
nych rozważań niektórych uc-
zonych, że oprócz trzech zna-
nych stanów skupienia (sta-
łego, ciekłego i gazowego),
może jeszcze istnieć jeden lub
więcej nieznanymi stanów
materii. Zwolennicy takich
poglądów powołują się przez
analogię na niektóre odkrycia
z dziedziny fizyki niskich
temperatur jak nadpłynność,
nadprzewodnictwo.

Trzeba zaznaczyć, że hipoteza
Meade Layne’a jak dotąd opiera
się na nie sprawdzonych założe-
niach.

*) mowa tu o wielokrotnie
stwierdzonym zupełnie nagłym
znikaniu manewrujących w
przestrzeniach „latających tale-
rzy” — znikaniu równocześnie
dla oka ludzkiego, kamery fil-
mowej i urządzeń radarowych.
Można przyjąć dwie alternaty-
wy: albo niewiarygodnie wiel-
kie przyspieszenie, albo zastoso-
wanie jakiegos nieznanego —
„eliksiru niewidzialności”.



O „Pikniku” mówiło się już u nas bardzo
wiele. O odtwórczyni jego głównej roli Kim
Novak (na zdjęciu obok) — także. Dodajmy,
że film jest adaptacją głośnej sztuki Williama
Inge pod tym samym tytułem, która przez
rok nie schodziła ze scen na Broadwayu.
Jeden zwykły, niedzielny piknik mieszkanc-
ów małego fabrycznego miasteczka rozwią-
zuje lub zawiązuje wiele ogromnie ważnych
spraw. Szeroki ekran, technicolor.



„Ostatnie 5 minut” — to film biorący zde-
cydowanie w obronę instytucję małżeńską.
On — bogaty utracjusz (Vittorio de Sica)
i ona — kobieta samodzielna tudzież nieza-
leżna (Linda Darnell), postanawiają zabawić
się w nowoczesne małżeństwo, pozostawiają-
ce sobie tzw. wolną rękę także w sprawach
intymno-sercowych. Kiedy jednak okazuje
się, iż te lekko traktowane flirty mogą za-
grozić małżeństwu — oboje małżonkowie po-
trafiają się ich na czas i bez żalu wyrzec.
Lekki, satyryczny ton filmu, finezyjny dia-
log (jest to adaptacja popularnej we Wło-
szech komedii Benedettiego) — zapewniają
przyjemną rozrywkę. Produkcja francusko-
włoska.